

ANDRZEJ KWIATEK

Braciszek (1974 r.)

Bezpańskie kundły zmykały z podwinętymi ogonami spod mioteł ekipy magistrackiej. Szerokie pędzle ociekające wapnem chłastały na biało krawężniki. Murarskie kielnie zacierały zaprawą ubytki i pęknięcia w tynku na długim kościelnym parkanie, a szerokie packi rejonowców rozprowadzały dymiący asfalt na kocich łbach ulicy Zatylniej.

Na płotach i ławeczkach, koszach na śmieci, na metalowych ramach z tablicami informacyjnymi, na betonowych słupkach drogowkskazów i pompie koło magistratu, błyszczała schnąc w letnim słońcu ta sama zielonkawa farba. Jej zapach nawet w kanajpie mieszał się ze smakiem wódki i piwa.

W parku nad rzeką dzieciaki z półkolonii zbierały papierki. Krążąc wokół grubych pni rozłożystych kasztanów, wyglądały jak chmara splotzonych motyli. Wychowawczynie odpędzała zgraję od wody długą wierzbową wijką. Na skwerku, naprzeciwko kościoła, stała nowiuterka budka telefoniczna. Lśniła w słońcu jak szklana szkatuła z tajemniczym skarbem w środku. Jakaś dziewczynka przywarła nosem do szyby i zaglądała do środka.

Kazio-fotograf, balansując na przedostatnim szczeblu wysokiej drabiny, czyścił szyld nad oknem swojego zakładu. Przed otwartą gablotą ścienną stała jego gruba żona w wypłowiałym szlafroku i wymieniała fotografie. Pomarszczonymi, zgrubiałymi w stawach palcami, wtykała zdjęcia w papierowe zakładki na czarnym pluszu: szczęśliwych nowożeńców, dumnych i patrzących gdzieś w dal młodych żołnierzy wszystkich formacji, uroczyste wyprostowanych dzieci z gromnicami w rękach i obrazkami świętych na pierśsiach. Czarny plusz zakryty powoli li niemowlęta w koronkowych poduchach trzymane przez młode pary oraz profil marynarza żeglugi źródładowej z fajką w zębach.

Sto metrów dalej, przed otwartymi drzwiami sklepu spożywczego, stuknięty Jasio szorował schodki. Ryżowa szczotka wciąż mu wypadła z ręki, zastygła wówczas bez ruchu z otwartą gębą i gapił się na żwawą ekspedientkę.

- Szoruj, Jasiu, szoruj! – krzyczała zza lady kobieta.

Nad małym placikiem okolonym komórkami, nicopodal strzelistej wieży strażackiej, unosiła się chmura kurzu oraz gromkie okrzyki komendanta ochotniczej straży pożarnej:

- Dra-bin-kę Szczerbowskiego w piramidkę spraw!

Kilku spoconych strażaków popędziło w kierunku czerwonego Stara. W zawrotnym tempie ustawili ogromną drabinę, na której szczyt, już po chwili, w srebrzystym, za dużym nieco chełmie, z sikawką pod pachą, stał zziąjany Grabowski.

Komendant spojrział na stoper.
- Jeszcze raz, panowie. Złożyć drabinę. Urwiecie ze dwie sekundy i skończymy. Uwaga! Pośpieszyć się, do jasnej cholery! Armia Paulusa, czy co? Grabowski do szeregu! Uwaga! Uwaga! Drabinkę Szczerbowskiego w piramidkę spraw!

Na płaskich dachach komórek poklepanych papą siedziało kilkunastu chłopaków. Obstrzelali się pestkami czereśni przy akompaniamencie cięż-

kich westchnień trąb i dudnienia bębna wydobywających się przez uchylone lufciki ze strażackiej świetlicy.

Na tarasie knajpy Kosmos, w towarzystwie wuja, siedział Pajac łysiejący. Dwadzieścia lat niedługo pęknie, gdy szła autostopu wymiół go z tych stron. Przemierzył kraj wzdłuż i wszerz: kopalnie, cukrownie, stocznie; Poznań, Warszawa, Katowice – raz na wozie, raz pod wozem. Wpadał czasem na stare śmieci jak zbłąkany wichur, szumił dwa lub trzy dni i znikał równie szybko, jak się pojawił. Przyjechał teraz z pełną kiesą od badylarzy spod Grójca i nie dawał wujowi dojść do słowa. Zresztą wuj niewiele miał do powiedzenia. Popijał niepewnie coca-cola i patrzył na Pajaca, jakby chciał powiedzieć „Gadaj zdrów”, lecz wtrącał po każdym tyku: „Co ty powiesz, popatrz no”.

- A coś myślał, że co? – buchał Pajac kłębam dymu. – Jak ci smakuje coca-cola?

Wuj podniósł butelkę pod słońce.

- Coś jak szampion albo perfumy – mruknął.

- Eee – skrzywił się Pajac z dezaprobatą. – Widać, że pierwszy raz pijesz.

Spojrzał na samochód dostawczy, który właśnie podjechał pod knajpę.

- No, nieźle. „Żywiec” przywieźli. I pomyśleć, że jeszcze niedawno była tylko ta lura skierniewicka z beczki. Widzę, wujku, że się ruszyło. Aż miło popatrzeć.

Wuj ożywił się nieco.

- Popatrz no, ciotka mówi, że w sklepach wszystkiego po uszy. Zagranicznych rzeczy pełno: czekolady, papierosy, szampany, migdały i pełno różnych fizdrygałów.

Pajac klepnął się po udach.

- Prawidłowo, wujku. Słyszałem, że Morwa teraz działa. Aż się nie chce wierzyć. Dostał kiedyś ode mnie zgnitym ogórkiem w głacę, a teraz – wielki pan Morwa.

Wuj odwrócił się i strzelił petem z cygaretki. Pod tarasem jakieś dziecko wpychało bezę do psiego pyska.

Morwa rzeczywiście miał pełne ręce roboty. Sześćdziesiątka na karku, zeszłoroczne wybory i wydarzenia ostatnich tygodni poderwały w nim raz jeszcze usypiającą energię.

- Dwadzieścia lat – mawiał – trzeba było czekać na porządną drogę do Radwanki! Tfu, zółwie zatracone! Pokażemy im teraz, jak się gospodarzy!

Postawny był i w jaskółkę się czesał jak za dawnych bikiniarskich czasów. Filiгранowa żonka wchodziła każdego ranka na stołek, by poprawić krawat na jego wystającej grdyce i strzepnąć lupież z szerokich barów wciśniętych w kraciastą marynarę.

- No, panie burmistrzu, idź już. Żebyś tylko z obiadem nie musiała czekać.

Dumna była z męża, choć utyskiwała często z powodu codziennego prania i prasowania koszul. Morwa wyskakiwał kilkanaście razy dziennie z miejskiego ratusza, przyklepywał dłońmi „jaskółkę” i wsiadał do ceglatego fiata. Krążył wolno po ulicach, zaglądał w dziury i dziurki, wlaził na podwórka, myszkał po zapleczech sklepów, zapisywał wszystko w notesie i dzielił się splotzeniami z kierownicą. Wpadał do powiatowej rady, do komendanta milicji, ukazywał się i



znikał w obrotowych drzwiach Komitetu.

Wsiadał właśnie zdyszany do auta. Kierowca, pan Tadzio, podsunął mu pod nos Carmeny.

- No i jak, coś nowego? – zapytał.

- Ci z telewizji śpieszą się jak cholera – odpowiedział Morwa. – Są w mieście dopiero od dwóch dni, a już zdążyli być w „Zyletkach” i „Odzieżowce”. Podobno z ludźmi na ulicy też gadali. Nie wytrzymam chyba. Co z tymi różami? Podjedź do Kodyma.

- Robi się – pan Tadzio przetaił szybę i zapuścił motor. – A mówił pan, że będą kręcić na żywo...

- Na żywo, na żywo – zachnął się burmistrz. – Dopiero w sobotę. Program ma trwać całą godzinę, rozumiesz, taka przeplatanka: ludzie, miasto, perspektywy – no i na żywo. Cholera, jak ich lokowałem w internacie, obiecali, że najpierw do mnie przyjdą.

- Co się pan martwi. Wszystko przecież przygotowane jak należy. A co z kombinatem?

Rozchmurzył się Morwa i popatrzył w przyszłość. Sprawa kombinatu była już zaklepana. W sierpniu przyjeżdżają Amerykanie i Włosi. Z województwa obiecali odpalić jeszcze trochę, no i po telewizyjnym reportażu coś wpadnie. Pomyślał o swoim poprzedniku: Kompletny dziad. Strugała zafajdany. Mrużył te swoje szczurze ślepia... i to jego „synku”. „Co nagle, to po diable, synku”. Niech mu ziemia lekką będzie.

- Cholera jasna – powiedział już głośno – wiesz pan, panie Tadek, ile będzie wynosił ubój dobowy w kombinacie? Tysiąc pięćset co najmniej, może nawet dwa tysiące sztuk. Pełna automatyzacja. Wiesz, co to znaczy? Możesz sobie wyobrazić, co my tu będziemy

mieli za parę lat?

Pan Tadzio zatrzymał auto.

- Jesteśmy – ziewnął i splótł dłoń na karku. Rzucił od niechcenia:

- Ciekawe tylko skąd weźmiemy tyle świń. Chyba że sami się pod nóż podłożą.

- Dowcipny się znalazł – skrzywił się Morwa – Nie martw się, już oni... już my wiemy, co robimy.

Burmistrz wychylił głowę przez okno, bo właśnie w drzwiach pakamery otulonej dzikim winem ukazał się Polikarp Kodym w maciejówce i wielkimi nożycami ogrodniczymi w rękę.

- Kodym, do cholery, co z różami na skwerze? Już wczoraj mieliście wsa-dzić. Gdzie masz ludzi?

Ogrodnik zsunął czapkę na tył głowy i podszedł do samochodu.

- Poszli właśnie. Wczoraj nie było czym przewieźć, ale cymes będzie, szefuniu, paluszki lizać.

Podsunął Morwie pod oczy brudną pięść, z której zaczęły wysuwać się po kolei grube paluchy.

- Papa Mayland, Queen Elizabeth, Mister Lincoln, Madam Barbara – wylizował. Efektowne nazwy róż uspokoiły Morwę. Spotęgowały słodkie, rozpie-rające uczucie sympatii dla świata i ludzi.

- Dobra, panie Polikarpie. Zróbcie jeszcze porządek z alejkami w parku.

I dodał z udawaną ojcowską surowością:

- Nie obijać mi się tylko!

Ceglasty fiat wyjechał tyłem na ulicę Kolejową, wykręcił i pomknął w stronę stadionu miejskiego, na którego płycie Popoński i Wężyk dziarsko wymachiwali kosami.

Wieczorami, w domu kultury, ćwiczyli chłopaki z „Gongu”. Chrapli-

wy bas Sylwestra Pietrzaka spływał z dźwiękiem gitar elektrycznych na ogród Glasera: „Homo homini, ale się zmieni” – con pasione i furioso wprawił w drżenie szerokie liście rabarbaru, gałązki jabłoni i starych orzechów włoskich. Nocami zaś nad wąskimi ulicami miasta unosił się słodkawo-kwaśny oddech jabłkowego wina; wzbijał się wysoko, ku wesoło mrugającym gwiazdom zwiastującym dobrą pogodę na najbliższe dni.

Tego dnia, w pobliżu knajpy Kosmos, stał Braciszek z Janolina. Stał w rozkroku, jedną nogą na jezdni, drugą na krawężniku, z ręką wyciągniętą niczym ramię semafora. Miało się wrażenie, że lada moment złapie za kłamek lub sznury od plandeki jakiegoś przejeżdżającego samochodu i zatrzyma go na miejscu. Wyglądał jak byk z lwią grzywą lub rozbitek z wyspy na końcu świata. Wiadomo było, że chce się dostać do Janolina, za las wałowski, tam gdzie wzdłuż wąskiej drogi płynącej prosto pomiędzy szpalerem młodych jarzębin stoją tu i ówdzie domy z czerwonej cegły. Niektóre z nich, w budowie, z małymi kapliczkami w ścianach od strony drogi, nie mają jeszcze dachów, wstawionych okien i drzwi. Za zakrętem jest Janolin i wyschnięte topole; przystanek autobusowy i stadko gęsi koło przystanku; sadzawka i chałupa Braciszków, a raczej coś, co było chałupą dawno, dawno temu. Poczerniała strzecha zsunęta aż do ziemi, resztki krokwi sterzą z dachu. Przez dziurę w opuszczonej strzesze, wlaży Braciszek do środka. Bywało nie raz, że podążał za nim jakiś ważny gość, najczęściej ktoś z powiatowej rady z wydziału rolnictwa lub finansów.